

Gnieźnieńskie Forum Ekspertów Turystyki Kulturowej

Pytanie 54

Ocena jakości opracowań autorstwa polskich badaczy, dotyczących problematyki turystyki kulturowej

dr Jacek Borzyszkowski (Politechnika Koszalińska)

*Analiza tekstów, które dotychczas ukazały się na łamach polskich czasopism (w tym także w "Turystyce Kulturowej") oraz w innych publikacjach o charakterze naukowym skłania do zadania następującego pytania: **jak oceniacie Państwo jakość opracowań autorstwa polskich badaczy, dotyczących problematyki turystyki kulturowej? Czy dostrzegacie Państwo progres w ich przydatności dla środowiska naukowego? Czy stosowane metody badań są właściwe i charakteryzują się wysoką wartością?***

Odpowiedzi:

dr hab. Armin Mikos v. Rohrscheidt, prof. GSW, Gniezno/Poznań

Na początku przyznam, że jakkolwiek po pierwszym przemyśleniu pytania planowałem odpowiedzieć w bardziej pozytywnym tonie, to zagłębiając się w badanie materii stopniowo dochodziłem do wniosku, że muszę jednak napisać mniej miło, a bardziej krytycznie. Od zawsze jednak byłem zwolennikiem wykładania „kawy na łąkę” i jestem głęboko przekonany, że to może pomóc, w przeciwieństwie do wzajemnego zagłaskiwania się i malowania pięknych krajobrazów każdej dziedziny ludzkiej działalności, które w ten sposób coraz bardziej przekształcają się w potiomkinowskie wioski. Dlatego, doceniając pracę znakomitych Kolegów i Koleżanek - których mógłbym wymienić po nazwisku - a wielu z nich współpracuje także z naszym czasopiśmem jako recenzenci, autorzy, członkowie Rady Naukowej czy redaktorzy, wolę jednak skupić się na tym, co wciąż nie wychodzi, wymaga poprawy, a w niektórych przypadkach stanowi wręcz rosnące zagrożenie dla krajowej refleksji naukowej w ogólności i poziomu oraz przydatności publikacji w bardziej szczegółowym odniesieniu turystyki, w tym tej kulturowej.

Ponieważ moja już ponad sześćdziesięcioletnia praca w czasopiśmie naukowym publikującym dużą część polskich tekstów na temat turystyki kulturowej umożliwia mi dość dobry wgląd w jakość nadsyłanych artykułów, w tej ocenie skupiłem się właśnie na tej grupie publikacji naukowych i odpowiadając postaram się odnieść do ich trzech głównych typów: artykułów źródłowych, artykułów przeglądowych i artykułów polemicznych.

W przypadku artykułów źródłowych bazujących na badaniach empirycznych ilościowych, z pewnością kluczowa jest kwestia, na którą zwróciłem już uwagę ostatnio (pytanie 53 postawione na Forum Gnieźnieńskim). Chodzi o bezrefleksyjne ustalanie prób badawczych, które nie mają żadnej szansy na osiągnięcie reprezentatywności (kilkadziesiąt osób nie odbijających różnorodności ani społeczeństwa, ani turystów, ani nawet danego środowiska), a potem ekstrapolowanie wniosków osiągniętych przez takie badanie na szerokie warstwy (na przykład wszystkich „młodych ludzi”, jak to było w tekście przeze mnie przytoczonym). Zauważyłem pewną prawidłowość, a mianowicie tę, że takie „badania” są prowadzone przede wszystkim przez młodych adeptów nauki, w szczególności doktorantów zatrudnionych na polskich uczelniach. W konsekwencji to właśnie ich teksty zgłaszane do czasopism naukowych stanowią większość wśród mających ten właśnie - w mojej opinii dyskwalifikujący je - mankament. Wydaje mi się - choć trzeba by pewnie zebrać szersze dane, by tę intuicję potwierdzić - że przyczyną namnożenia się „badań” tego rodzaju jest

opisywana już w wielu miejscach polska specjalność: „punktoza”, czyli bezrefleksyjna pogoń za punktami za publikacje, które w ocenianiu młodych pracowników naukowych odgrywają bardzo znaczną, a w wielu uczelniach może nawet decydującą rolę. Przy okazji takich ocen nikt jednak nie sprawdza, czy dane badania wnoszą cokolwiek nowego do istniejącej wiedzy o turystach, ich zachowaniach czy produktach turystycznych. Bardzo poważnie obawiam się, że hodzi się w ten sposób ludzi niezdolnych do odróżnienia tego, co istotne i potrzebne od nic nie wartych elaboratów opartych na przykład na ankietce wśród... własnych studentów, jako materiału dostępnego w każdej chwili i bardzo łatwo poddającego się „badaniu”. Nie chcę już rozwijać wątku, jak łatwo zmanipulować wyniki owego „badania” pod własną tezę, na przykład przeprowadzając w kilku prowadzonych przez siebie grupach wcześniej dwie godziny wykładu czy ćwiczeń na dany temat, a potem za tydzień realizując ankietę... Postuluję, by w ogóle – jeśli nie na drodze prawnej, to przynajmniej przez porozumienie w środowisku – zakazać badania studentów własnego kierunku (turystyki, turystyki kulturowej, zarządzania w turystyce itd.) na wszelkie tematy jakkolwiek dotyczące turystyki, jej zasobów, walorów, preferencji turystycznych, oceny produktów turystycznych itd. Będzie od razu bardziej uczciwie.

Drugi problem to jakość tak zwanych artykułów przeglądowych, czyli nie opartych na wynikach własnych badań źródłowych. Przyczyna ich akceptacji jako publikacji naukowych jest ta, że mają one zestawiać wyniki wielu poważnych badań na dany temat (w turystyce także prowadzonych w miejscach nieznanymi krajowemu badaczowi). Koniecznym elementem takiego artykułu są dobrze uzasadnione wnioski jego autora, sformułowane na podstawie analizy porównawczej wyników i wniosków z relacjonowanych przezeń (cudzych) badań. Poszerza to wiedzę własnego środowiska naukowego w jakimś konkretnym zakresie, wskazuje na nowe problemy, których być może w krajowym środowisku jeszcze nie znamy, prezentuje opracowywane gdzie indziej nowatorskie koncepcje, produkty i stopień ich skuteczności czy skalę sukcesu, opisuje i poddaje ocenie przyjmowane gdzie indziej i sprawdzające się lepiej lub gorzej rozwiązania. Widać stąd, że obok atutu nawiązywania i podtrzymywania komunikacji z innymi, często najważniejszymi środowiskami naukowymi, głównie poza krajem (albo wiodącymi ośrodkami i zespołami we własnym kraju) kluczowe znaczenie w takich artykułach ma „aplikowalność” wniosków, czyli ich przydatność do zastosowania w rodzimych warunkach dla tworzenia koncepcji, budowania produktów, wdrażania rozwiązań itd. Tymczasem w krajowej refleksji naukowej na temat turystyki kulturowej zauważam wzbierającą falę artykułów, które „udają” przeglądowe, ale nimi nie są. Zamiast poszukiwania opracowywanych pionierskich teorii czy koncepcji oraz analizowania przyczyn i sposobu tworzenia sprawdzających się gdzie indziej rozwiązań (oraz ilustrowania ich w postaci rzetelnych, rozwiniętych i krytycznych studiów przypadków), ich autorzy kopiują całe strony zwykłych przewodników turystycznych po znanych polskich lub zagranicznych obszarach i obiektach, dołączając do tego napuszony naukowy wstęp i trochę własnych przemyśleń, które eufemistycznie określiłbym jako „intuicyjne”, ponieważ nie są one poparte badaniami cudzymi. Co najwyżej bywają do nich dołączone wyniki nie spełniającej żadnych formalnych wymagań ankiety przeprowadzonej na kilkudziesięciu osobach o bliżej nie sprecyzowanym i nie dowiedzionym odniesieniu do reprezentatywności dla danego problemu czy zjawiska. Bywa i tak, że nie ma ona nawet związku z tematyką przytaczanych (przeглядanych) prac, a bardziej odnosi się do samego obszaru badania i stanowi tym samym niepotrzebne obce ciało, bo z tekstu przeglądowego tworzy artykuł quasi-źródłowy. Ergo – w znaczącej części publikowane w Polsce artykuły przeglądowe o tematyce związanej z turystyką nie są wynikiem żadnego solidnego przeglądu, a tylko wtórną, może nieco bardziej krytyczną wersją przewodników. Mam wrażenie, że w międzyczasie dobrze rozpoznają takie teksty na pierwszy rzut oka: mają one podejrzenie dużo zdjęć (czy to wynika z jakiejś atawistycznej tęsknoty za pierwowzorem, czyli

przewodnikiem turystycznym?) i bardzo skromną warstwę wniosków, często składającą się z kilku zaledwie zdań, co w tego typu artykule trudno zaakceptować. A przy dogłębnej lekturze okazuje się jeszcze często, że i te wnioski są słabo uzasadnione, ponieważ autor/ka sformułował/a je raczej „zdroworozsądkowo” niż na podstawie rzetelnej analizy jakichkolwiek, choćby cudzych, danych.

Niemal zupełnie natomiast w polskiej refleksji nad turystyką (jak i w licznych innych dziedzinach) brak artykułów polemicznych. To teksty, których autorzy - podpierając to wynikami cudzych, a nierzadko i własnych badań – poddają w wątpliwość tezy nie mające w ich opinii dostatecznego uzasadnienia albo po prostu przebrzmiałe, nieaktualne, a nadal bezkrytycznie przyjmowane. By określić ich funkcje, pozwolę sobie na dwie luźne metafory. Otóż pełnią one dwie nader pożyteczne role: szczupaka w stawie i tlenu dla organizmu. Spieszę wyjaśnić: Szczupak samą swoją obecnością (ale i faktem pożerania osobników chorych, słabych i mało ruchliwych) daje stawowi jako całości walor zdrowego ekosystemu. Wszystkie ryby dzięki niemu poruszają się żwawiej, przeżywają i reprodukują się osobniki zdrowsze, z oczywistą korzyścią tak dla wędkarzy (w naszym przypadku to np. biznes turystyczny), jak i właściciela stawu (społeczeństwo i państwo). Sam fakt regularnie uprawianych polemik i jakości używanych w nich argumentów (ostre zęby szczupaka?) powoduje, że panuje wyższa dyscyplina zarówno samych badań, w tym doboru rzeczywiście przydatnych tematów, prób badawczych, rzetelności analiz, jak i ich prezentacji, w tym odniesień do literatury, znajomości podstawowych reguł danej dyscypliny, uzasadnień dla wyciąganych wniosków czy dokonywanych uogólnień. Autorzy krytykowanych tez muszą ich z kolei bronić, przez co albo uzyskują one „mocniejsze podparcie” czy aktualizację, albo przepadają i otwierają drogę do zebrania bardziej aktualnych danych lub do przyjęcia nowej teorii czy koncepcji. Tlenem dla badań naukowych artykuły polemiczne są zaś dlatego, że kreuja i „żywią” dyskusję w środowisku badaczy, wskazują na rzeczywiste problemy i nie pozwalają ignorować fundamentalnych sprzeczności. To dzięki licznej obecności i docenieniu takich tekstów (i oczywiście dzięki nakładom, ale ważne jest tak jedno, jak i drugie) środowiska badaczy w krajach o silnych tradycjach naukowych i wysokim poziomie badań są w stanie dokonać szybkiej autokorekty, ważne zagadnienia są szeroko dyskutowane i dzięki temu prędko przedostają się do obiegu dydaktycznego, a tezy nieaktualne lub od początku błędne szybko znikają na śmietniku nauki, bo taki przecież także istnieje i istnieć musi. Publikacja artykułów tego rodzaju daje naprawdę cenne efekty: pracowników nauki prowadzących badania zmuszają one do szczególnie starannego formułowania i uzasadniania wniosków, a studentom otwierają horyzonty krytycznego spojrzenia, które – przyznajmy to po dwóch i pół tysiącach lat uprawiania naukowej refleksji – jest nieodzowne do krytycznego ujmowania świata i jego fenomenów, szczególnie tych zmiennych i bardzo złożonych (jak zachowania i preferencje ludzi), co oczywiście dotyczy także turystyki kulturowej. Są więc jak tlen dla prawidłowego funkcjonowania i zdrowego rozwoju organizmu. Ich rola jest nieoceniona także w pilnowaniu stosowania właściwych metod do poszczególnych przedmiotów badań. Dlaczego w naszej dziedzinie w Polsce tak rzadko pojawiają się takie teksty? Odpowiedź wydaje mi się prosta: bo po pierwsze, w dość szczupłym środowisku wielu z nas zna się osobiście, po drugie (co może nawet ważniejsze) bo ogromna większość naszych naukowców, wychowana w feudalnych warunkach państwowych uczelni i ich niezliczonych „układów” boi się komuś narazić i stracić szansę na współpracę, granty, a może nawet przy pierwszej okazji pozbyć się stabilnego miejsca pracy. Pokrewnym problemem, którego już nie będę szeroko rozwijał, jest kwestia tzw. życzliwych recenzji. Na szczęście powoli przestaje ona być tak boleśnie szkodliwa, ponieważ wymagania parametryzacji czasopism naukowych wprowadzające dwie „ślepe” recenzje pozwalają na bardziej obiektywną ocenę tekstów bez obawy konfliktu personalnego. Pozwalają... o ile naprawdę są stosowane. Patrząc na nasze naukowe „podwórko” stwierdzam z satysfakcją, że w „Turystyce

Kulturowej” – są one stosowane, to samo zauważam w „Folia Turistica” pod nowym kierownictwem, w „Ido – Movement for Culture” i w szczecińskich „Ekonomicznych Problemach Turystyki” czyli w najwyższej punktowanych (7 do 10 punktów) czasopismach podejmujących problematykę turystyczną.

Przy okazji braku naukowej polemiki, w tym także naprawczej, pozwolę sobie na ekskurs, który w mojej ocenie może wiele wyjaśniać. Otóż bardzo niedawno wyraziłem poważne zastrzeżenia co do warsztatu badawczego pewnej doktorantki wobec szanowanej przeze mnie osoby (samodzielnego pracownika naukowego), z którą współpracuję od lat, funkcjonującej w tym samym zakładzie i mającej znaczny wpływ na realizowane tam projekty. W odpowiedzi usłyszałem że (cytuję) „jesteśmy przyjaciółkami”. Zrobiło mi się „dziwnie”. Jeżeli to ma być wytłumaczenie dla niepodejmowania żadnych działań, żeby niedoświadczonego „badacza” skorygować i doprowadzić „do pionu” to – niestety - czarno widzę przyszłość nie tylko tej młodej osoby, ale też wiedzy oraz umiejętności nauczanych przez nią studentów. Przykro mi to porównywać, ale tak właśnie powstają „sitwy”, w których ciepłku świetnie rozwija się wszelka miernota, a jednocześnie w przyszłości może zostać utracony każdy wybijający się talent naukowy (bo może np. „nie być przyjacielem”). Wniosek jest dość oczywisty: albo nauczymy się nasze osobiste sentymenty i resentymenty chować do kieszeni i nie eksponować ich w pracy dydaktycznej i naukowej oraz współpracy badawczej, albo nasz poziom badań - i również dydaktyki - spadnie do ligi przysłowiowego Gabonu.

Jakie mogą być w tej sprawie wnioski? Nikogo pewnie nie zaskoczą, ale dla porządku może warto sformułować je systematycznie:

Po pierwsze: ze strony samodzielnych badaczy i kierowników zespołów oraz promotorów prac naukowych w naszej dziedzinie konieczne jest prawdziwe „prowadzenie” młodych pracowników nauki, którym bardzo często nikt do momentu podjęcia zajęć i wyboru ścieżki doktoranckiej nie przekazał, jak prowadzić rzetelne badania i jak o nich pisać. Należy im zwracać uwagę na to, co nie spełnia wymogów badań naukowych, pokazywać dobre przykłady możliwie najbardziej bliskie badanej przez nich problematyce, doradzać w kwestii przeczytania tego czy innego jeszcze tekstu, pomóc „ustawić” aparat badawczy i ustalić takie kryteria, które zapewnią reprezentatywność badania, a potem skonsultować ich wnioski. I nie szczędzić krytyki teraz, kiedy jeszcze umieją (albo muszą) ją przyjąć. Za parę lat może być za późno, a my będziemy mogli już tylko pogratulować sobie stworzenia kolejnego Frankensteinia nauki albo co najmniej „naukowego” Nikodema Dyzmy.

Po drugie: ze strony odpowiedzialnych za publikacje (redaktorów i recenzentów czasopism, redaktorów zbiorczych monografii i ich recenzentów) niezbędne jest bezlitosne odrzucanie wszystkich tekstów, które nie spełniają warunków prawdziwego opracowania źródłowego, raportu faktograficznego, artykułu przeglądowego i wskazywanie ich autorom wprost na przyczyny eliminacji. Należy także odrzucać wszelkie prace niezgodne z tematem wiodącym monografii czy zeszytu tematycznego.

Po trzecie: potrzebne jest konsekwentne stosowanie, kontrolowanie, a gdzie trzeba także „wymuszanie” recenzji ślepych oraz twarda walka z recenzjami „życzliwymi”, i to tak w odniesieniu do artykułów, jak i do monografii oraz może w szczególności do prac „awansowych” (mam nadzieję że tegoroczny przypadek pewnego niedoszedłego doktora z Warszawy wszystkich czegoś nauczył).

Po czwarte: już czas na odważenie się - szczególnie osób z dużym dorobkiem w danej dziedzinie - na polemiczne artykuły a także polemiczne recenzje, które nie tylko „sprawozdają” treści analizowanej książki, ale też podejmują z nią dyskusję. A jednocześnie wykazanie na tyle dużej „klasy” by w żaden (ani oficjalny, ani zakulisowy) sposób nie „odgrywać się” i nie szkodzić ludziom młodszym i mniej utytułowanym, którzy im samym coś wytkną. Przecież nie tylko nikt nie jest doskonały, ale tak właśnie – w dyskusji – powinna się rozwijać nauka. Jeśli niedoświadczony badacz wytknie błąd starszemu i doświadczonemu

koledze nie mając racji, to zawsze przecież można „utrzeć mu nosa” w otwartej polemice – i to go jeszcze czegoś nauczy. Nie jest to mało, a nic więcej nie jest potrzebne. A potem można - jak to bywa w niektórych krajach z rozwiniętą kulturą naukowej dyskusji – pójść wspólnie na kolację lub kawę i rzeczowo jeszcze raz i jeszcze o tym porozmawiać. Wszyscy na tym zyskają.

Odpowiadając na inny człon pytania pozwolę sobie na opinię że w Polsce kuleje zarówno przydatność badań związanych z turystyką, jak i ich rzeczywiste zastosowanie w praktyce organizacji turystyki. Temu pierwszemu winni są w głównej mierze sami badacze, jakże często poszukujący raczej tematów „łatwych”, obiecujących krótkie i mało skomplikowane, a najlepiej też najtańsze badania, niż zwracających uwagę na ich przydatność do czegokolwiek (tu znów kłania się wszechobecna „punktoza”). To drugie ma swoje źródło w szwankującej komunikacji badaczy i zakładów naukowych ze sferą biznesu, a także jej relatywną słabością w naszym kraju. Nasi przedsiębiorcy turystyczni wolą bezkrytycznie kopiować sprawdzone gdzie indziej wzorce (i często potem dziwić się własnym porażkom na rodzimym rynku) niż na przykład wykorzystać zasoby i walory, których eksploatacja mogłaby być podstawą do wykreowania unikatowych ofert, przyciągających ludzi z kraju i zza granicy. Z kolei odpowiedzialne za bardzo wiele wdrożeń samorządy (zgodnie z wciąż pokutującym przyzwyczajeniem urzędników do niedawno dopiero złagodzonych idiotycznych reguł, w myśl których przetarg musi zawsze wygrywać najtańszy), wciąż jeszcze zlecają badania byle komu, nie troszcząc się ani o jego kompetencje, ani doświadczenie w danej dziedzinie. Jak oceniać przydatność badań i koncepcji turystycznych, gdy oto kolejny samorząd wybiera dla przeprowadzenia audytu i szkolenia dla powstającego szlaku tematycznego tańszego o paręset złotych miejscowego specjalistę od... marketingu, nie interesując się tym, czy kiedykolwiek taki szlak widział, nie mówiąc już o jego dorobku w systematycznym badaniu podobnych systemów albo zgoła o udziale w tworzeniu takich koncepcji?

Wiele więc pozostaje do zrobienia. Ciesząc się poważnym ilościowym wzrostem badań, analiz i publikacji na temat turystyki kulturowej (w myśl motto, że w każdej wielkiej bibliotece jest większa szansa na znalezienie choć kilku mądrych książek), i doceniając fakt, że obejmują one coraz szersze spektrum zagadnień, jestem zdecydowanie zdania, że szczególnie teraz czas na jakość.

Prof. dr hab. Andrzej Kowalczyk, Uniwersytet Warszawski

Nie mam żadnych wątpliwości, że „Turystyka Kulturowa” jest w chwili obecnej najważniejszym czasopismem w Polsce poświęconym tej formie turystyki nie tylko ze względu na swój tytuł, ale także z powodu wykorzystywania nowych technologii (Internetu), dużej częstotliwości ukazywania się oraz krótkiego cyklu wydawniczego. Dlatego też starania, aby poziom naukowy „Turystyki Kulturowej” był jak najwyższy są w pełni zasadne.

Profesor Armin Mikos von Rohrscheidt w sposób bardzo wnikliwy określił bolączki naszego czasopisma (pozwalam sobie pisać „naszego”, gdyż jestem w jego Radzie Naukowej i opublikowałem w nim kilka tekstów). Ja też uważam, że naukę światową powoli niszczy „punktomania” i dążenie autorów do publikowania tekstów, które niekiedy są mało przemyślane, dotyczą spraw przyczynkowych itp. Czasami mam wrażenie czytając takie teksty (np. będące wynikiem badań na „próbach” rzędu kilkanaście-kilkadziesiąt osób), że ten sam problem przedstawiony w formie artykułu za 1 rok czy 2 lata byłby naprawdę ciekawą i przekonującą publikacją. Sam poniekąd jestem „ojcem” tych nieprawidłowości, bo będąc członkiem Rady Naukowej Studium Doktoranckiego na moim macierzystym Wydziale zgadzam się, aby Doktorant w ciągu każdego roku miał tyle i tyle opublikowanych artykułów (gdyż to decyduje o tym czy dostanie stypendium, czy nie). Czasami zgadzam się również –

już jako recenzent – na dopuszczenie do opublikowania słabszego (nie „słabego”!) tekstu, bo wiem, że Ta Młoda Osoba jest rozliczana z tych publikacji. O tym, że świat naukowy w jakim żyjemy jest po części „postawiony na głowie” może świadczyć moje odkrycie z wczorajszego dnia, kiedy to wpisując swoje publikacje do Polskiej Bibliografii Naukowej w jednym z czasopism z listy A (25 pkt.) znalazłem artykuł pod którym jest podpisanych 30 autorów. Prawdopodobnie dlatego, że każda z tych osób musi „walczyć” o punkty.

Od pewnego czasu z różnych powodów przeglądam systematycznie zagraniczne czasopisma dotyczące turystyki oraz związanych z nią zagadnień geograficznych. Przeprowadziłem kwerendę w znaczących czasopismach z USA, Wielkiej Brytanii, Australii, Holandii i kilku innych państw (w rodzaju RPA i Singapuru) poczynając od 2000 r. Otóż śmiem stwierdzić, że w wielu przypadkach zamieszczone w nich teksty (a są to czasopisma z listy A) nie odbiegają w części stricte empirycznej od artykułów w „Turystyce Kulturowej”. Natomiast odróżniają się od „naszych” tekstów szerokim omówieniem związanej z danym tematem teorii i literatury przedmiotu oraz rozbudowaną częścią końcową. Jest tak nawet wtedy, gdy sam problem badawczy jest błahy a zakres przeprowadzonych badań bardzo wąski. A więc problemem, jaki dostrzegam w niektórych naszych tekstach jest nie to co chcemy napisać, tylko w jakiej formie to robimy. Wydaje mi się, że źródeł naszych kłopotów w pisaniu tekstów naukowych należy m.in. szukać w niedocenianiu przez Młodych Badaczy kwestii związanych z metodologią danej dyscypliny i braku podstaw filozoficznych. Nie wiem jak jest na kierunkach kształcących specjalistów w zakresie szeroko rozumianej turystyce na AWF i w UE, ale w znanych mi programach studiów geograficznych i w zakresie gospodarki przestrzennej od lat nie ma logiki (jako student 4-letnich studiów geograficznych w latach 1973-1977 miałem 45 godzin zajęć z logiki). To, jak i inne niedoskonałości w systemie kształcenia (również na poziomie szkoły średniej), sprawiają, że także na poziomie studiów doktoranckich (coraz bardziej sformalizowanych) na sprawy metodologiczne kładzie się niewielki nacisk.

Ale dosyć biadolenia! Teraz przejdę do spraw bardziej pozytywnych.

W trakcie mojej kwerendy niekiedy z ciekawości „rzuciłem okiem” na artykuły znacznie starsze niż sprzed kilku-kilkunastu lat. Dotyczyły one znaczenia i redagowania map turystycznych. Czytając niektóre z nich stwierdziłem, że np. w 1942 r. i w 1947 r. J. K. Wright pisał to co obecnie głoszą autorzy uważający się za postmodernistów, a w 1951 r. A. H. Robinson uważał, że mapa jest swoistym dziełem sztuki. Co więcej, okazało się, że już w 1872 r. na zjeździe w Sankt-Petersburgu międzynarodowej i wielce szacownej organizacji International Statistical Congress uchwalono dokument, w którym znalazł się postulat standaryzacji oznaczeń używanych na mapach. Takie same postulaty zgłaszają współcześni kartografowie i specjaliści w zakresie turystyki!

Dlaczego o tym piszę? Dlatego, iż może znajdzie się za 50 czy 100 lat człowiek, który stwierdzi, że dzisiejsze – dla nas „banalne” i „przyczynkowe” teksty – są dobrym punktem odniesienia podczas prowadzonych przez niego studiów. W historii nauki jest wiele dowodów na to, że dopiero wraz z upływem czasu niektóre osiągnięcia zaczynają być doceniane. Dlatego też uważam nadawanie na bieżąco punktów artykułom, rozdziałom w książkach i książkom za z gruntu niesłuszne, powiem – sprzeczne z historią światowej nauki, a nawet po części pozbawione logiki. Nawet wskaźnik cytowań nie jest idealnym narzędziem, bo często cytowany może być tekst, który jest odrzucany przez środowisko (np. z powodu błędów merytorycznych), ale musi być w krytykującym go tekście przytoczony, gdyż dopiero później można wytknąć mu miałość.

Reasumując – traktujmy biurokratyczne wyliczanie, co ma ile punktów za „zło konieczne” i dalej róbmy swoje, STARAJĄC SIĘ JEDNAK ZACHOWAĆ UCZCIWOŚĆ NAUKOWĄ I SYSTEMATYCZNIE POSZERZAĆ NASZĄ WIEDZĘ.

dr Jacek Borzyszkowski, Politechnika Koszalińska

Wiele ważnych wątków zostało już poruszonych przez moich przedmówców, tj. prof. A. Kowalczyka i prof. A. Mikosa v. Rohrscheidt. Zawierały one istotne i trafne spostrzeżenia związane z poruszonym zagadnieniem, zarówno oceny negatywne, jak i pozytywne. W pełni podpisuję się pod obiema wypowiedziami. W mojej chciałbym jednocześnie wyrazić pewne refleksje, które związane są z jakością polskich opracowań naukowych. Po pierwsze, zauważam (podobnie jak prof. A. Kowalczyk), że porównując (o ile to możliwe) publikacje zamieszczane w „Turystyce Kulturowej” i innych wiodących czasopiśmie z zakresu turystyki z opracowaniami w czasopiśmie zagranicznych (również tych z tzw. listy A), można odnieść wrażenie, że nasze dokonania w wielu przypadkach wcale nie są jakościowo gorsze. Oczywiście, nie dotyczy to wszystkich publikacji. To, co faktycznie widać w wielu wiodących czasopiśmie zagranicznych (również z zakresu turystyki), to fakt wyraźnego wyodrębniania poszczególnych części opracowań. Jest to już konkretnym wymogiem, aby w tych publikacjach opracowanie było podzielone m.in. na część związaną z rozważaniami teoretycznymi, metodologię, dyskusję i rezultaty oraz wnioski. Warto również wskazać na "bogactwo" wykorzystywanej literatury naukowej - standardem staje się aby w takich artykułach zacytowano co najmniej kilkadziesiąt publikacji naukowych. Ogólny przegląd artykułów z „Turystyki Kulturowej” z lat 2008-2014 pozwala jednoznacznie stwierdzić, że i w naszym przypadku liczba cytowanych publikacji wyraźnie zwiększyła się. Ponadto coraz częściej wykorzystuje się źródła zagraniczne, i to te aktualne. Sięgamy więc do wielu publikacji, co w pewnym stopniu jest wynikiem łatwiejszego dostępu do nich (m.in. poprzez wykup dostępu do baz przez poszczególne uczelnie). To z pewnością działa in plus w przypadku naszych rodzimych opracowań.

Inna sprawa to umiędzynarodowienie naszych publikacji. Tu również zauważam coraz większą liczbę opracowań polskich naukowców w zagranicznych publikacjach (czasopiśmie, monografiach itd.). Oczywiście osobną kwestią pozostaje jakość tych publikacji. Niemniej, można stwierdzić, że w wielu zagranicznych czasopiśmie coraz łatwiej "natknąć się" na opracowania polskich autorów.

Potwierdzam opinię prof. A. Mikosa v. Rohrscheidt co do reprezentatywności w wielu badaniach. Niestety, zdarzają się opracowania w których badana grupa jest bardzo nieliczna. Co więcej, tytuły tych artykułów wskazują, że autor lub autorzy odnoszą dane zjawisko do całego społeczeństwa lub wybranej części (osoby młode, osoby niepełnosprawne itp.). W tym miejscu pragnę podkreślić zbyt "ogólne" tytuły wielu opracowań - zapoznanie się z ich treścią nasuwa wiele wątpliwości...

Oczywiście, osobnym problemem jest wspomniana już przez przedmówców "pogoń za punktami". Niestety, stosowana punktacja powoduje, że w wielu przypadkach zwraca się uwagę głównie na potencjalnie przyznawane punkty. Wiele innych kwestii związanych z czasopiśmie często ma mniejsze znaczenie (choćby profil). Zauważa się (również w przypadku TK), że część autorów stara się publikować tylko dlatego, że "dostanę 7 lub 8 punktów", a kwestia dostosowania artykułu do profilu czasopiśmie czy tym bardziej - wytycznych, ma minimalne znaczenie (a często - żadne). W przypadku TK można jednak stwierdzić, że przyjęcie obecnego systemu recenzowania pozwala na ograniczenie liczby lub nawet wyeliminowanie takich opracowań.

Pomimo wielu niepokojących zjawisk na polskim rynku wydawniczym o których wspomniano już wcześniej, jestem jednak optymistą co do jakości poszczególnych opracowań. Myślę, że w wielu kwestiach (liczba cytowań, umiędzynarodowienie) widać wyraźny postęp. Liczę na to, że będzie on coraz bardziej widoczny....

dr hab. Marek Kazimierzczak, prof. AWF Poznań

Na pytanie o jakość opracowań dotyczących problematyki turystyki kulturowej, które to pytanie pojawiło się na Forum Gnieźnieńskim wcześniej (nawiązuję do dyskusji zainicjowanej przez dr Piotra Zmysłonego, a potem dr Jacka Borzyszkowskiego), podzielałam opinię niektórych dyskutantów, m.in. prof. Dariuszu Dąbrowskiego, prof. Krzysztofa Kasprzaka, także prof. Armina Mikosa v. Rohrscheidt, że jakość polskich i zagranicznych publikacji naukowych z zakresu turystyki (kulturowej) jest po prostu - różna. Domyślam się, że profesor Armin Mikos v. Rohrscheidt nie do końca usatysfakcjonowany tak lapidarnym stwierdzeniem i dotychczasowymi w dyskusji rozwinięciami, oczekuje pogłębionych odpowiedzi i stąd zamiar „wbicia kija w mrowisko” i zachęta do tego aby sprawie przyjrzeć się bliżej. Profesor opisuje, zdając sobie sprawę z wagi problemu, także w kontekście rozwoju i pomyślności czasopisma, którego jest szefem, szereg negatywnych zjawisk, generujących „tysiące tekstów miernych”, nie opartych na żadnych badaniach, tekstów o bezrefleksyjnym ustalaniu prób badawczych. Z konstruktywną krytyką odnoszącą się do trzech głównych typów artykułów: źródłowych, przeglądowych i polemicznych nie sposób się nie zgodzić, jak też do proponowanych wniosków, jakie z tej krytyki wypłynęły. Oczekuje wsparcia, bo nie chce, i słusznie, pozostawać, jak pisze: „samotnym Don Kichotem, przestrzegając jakości w pośrodku tych wszystkich, którym na niej nie zależy”. Tym samym zwraca się do istniejących gdzieś jeszcze „rycerzy” – dusz mu pokrewnych - z apelem aby chwycili za oręż konstruktywnej krytyki stanu zastanego i ruszyli mu z odsieczą. Ten apel zasługuje na uwagę a wzmacnia go szereg podobnych krytycznych analiz stanu kondycji nauki polskiej Polecam interesujący opis dr Emauela Kulczyckiego - „Producenci bełkotu, czyli „imponujący” dorobek naukowy”, i dyskusję internautów tym zainspirowanych, gdzie jest mowa o niewyobrażalnym wyścigu szczurów generowanym na poziomie studiów doktoranckich [http://ekulczycki.pl/teoria_komunikacji/producenci-belkotu-czyli-imponujacy-dorobek-naukowy/ z sierpnia 2013.]

Odnoszę się do niektórych z uwag - wniosków profesora Armina Mikosa v. Rohrscheidt: **Pierwsza uwaga** kierowana do samodzielnych badaczy i kierowników zespołów oraz promotorów prac naukowych jest cenna sama w sobie i przypomina o tym, o czym zdarza się nam (a wyrażając się precyzyjniej „mnie”) zapominać, a co po części wyjaśnia to, skąd się biorą błędy popełniane przez naszych „podopiecznych”. Obawa co do stworzenia kolejnego Frankensteina nauki, albo przynajmniej „naukowego” Nikodema Dyzmy będzie nie uzasadniona wtedy, kiedy w dialogu pomiędzy obu stronami akademickich relacji, jednej stronie nie straszną będzie rola „ucznia” a druga już dorosła do roli „nauczyciela”. Jeśli mogę sobie pozwolić na osobistą uwagę w tej kwestii, i to w tonie nieco żartobliwym, to nie opuściła mnie wiara w potencjał intelektualny i możliwości realizacji się w roli dobrych dydaktyków osób, z którymi mam osobisty kontakt. Opisując z uzasadnioną troską możliwe negatywne scenariusze, jakie życie akademickie z sobą niesie, przed oczyma wyobraźni staje mi scena inna, nie mniej groźna, gdzie oto pełen naukowego zapału i o niezłym potencjale intelektualnym młody doktorant trafia w ręce gdzieś już funkcjonującego Frankensteina nauki, albo „naukowego” Nikodema Dyzmy. Jest sporo okoliczności dodatkowych, które budowanie naukowo zdrowych relacji skutecznie zakłócają, jak np. system awansu naukowego, który nie stwarza dobrego klimatu dla właściwego ich rozkwitu. W skrajnie pesymistycznych barwach, być może dla ożywienia dyskusji, pisze o tym prof. Krzysztof Kasprzak [Forum, pyt.52] poruszając przy okazji ważną kwestię wypracowania własnego warsztatu i wzorców osobowych, najlepiej w układzie mistrz-uczeń. Profesor, odnosząc się do starożytnych wzorców i pisząc o doskonałości, do której powinniśmy dążyć, a która jest nieosiągalna, tak trochę w platońskim duchu, pisze o tych uczniach, którzy w daremnym poszukiwaniu mądrości, w obszarze instytucjonalnego kształcenia jej nie znajdują A dalej pisze bez pretensji do obiektywnej oceny: „polskie uczelniano-instytutowe tzw. środowisko naukowe (...) To głównie arena wszelkich

antagonizmów, otwartych konfliktów, zawiści i wszelkich frustracji. Małe, najczęściej izolowane od rzeczywistości, środowiska duszą się od wewnętrznych konfliktów i trwających niekiedy latami podjazdowych wojen. Działając w warunkach skrajnie wadliwego zarządzania we wszystkich zakresach i wszechogarniającej, niszczącej wszystko na swojej drodze biurokracji, zniechęcają do działania i odrzucają wielu zdolnych ludzi, preferując jednocześnie wielu słabych w myśl dawnej zasady bierny – mierny - wierny (jest ona ponadustrojowa!). Praca, w której ludzie nie tworzą grupy, stała się miejscem podejrzeń i niezdrowej rywalizacji. Przez całe lata zakompleksione miernoty, którym nieopatrznie (a w dawnych latach w wielu przypadkach celowo) powierzono kierowanie zespołami ludzi, wyżywały się za własne niepowodzenia na podwładnych i studentach. (...) Najczęściej atmosfera pracy to mieszanina ambicji, różnych aspiracji, zaufania i nieufności, obaw, krótkich, a obecnie stale już trwających irytacji. W jednostce takiej atmosfery intelektualnej nie było, nie ma i nie będzie. W warunkach braku pracy, potrzeby zdobycia stypendium lub jakiegokolwiek zatrudnienia, awansu, czy przychylności wyrażonej wynikiem tajnego głosowania u wielu osób bardzo duża jest rola strachu będącego elementem samozachowawczym. W wielu zakładach atmosferę agresji i gniewu przez lata kształtowały osoby skłonne do straszenia, siejące nieufność, karierowicze, donosiciele, którzy w ten sposób nadrabiali braki uzdolnień. Istniejący i rozwijany przez ministerstwo system wykształcił już nowe pokolenia takich osób, często zdecydowanie gorszych niż ich poprzednicy w dawnej rzeczywistości.” (...) W takiej ogólnej atmosferze zgrany, życzliwy sobie i innym, koleżeński zespół pracowników (a są także i takie !) na tle innych wygląda dość dziwnie. Wręcz podejrzanie; jak się im udało, w zasadzie nie powinno, nie miało prawa. Całkowicie zrozumiałą jest obecny spadek społecznego zaufania ...”

Muszę przyznać, iż jest wiele w tej gorzkiej diagnozie stwierdzeń, pod którymi mógłbym się podpisać. Choć ogólny wydzźwięk tego fragmentu wypowiedzi budzi moje wątpliwości i może w polemicznym zapale Pan Profesor, świadomie nieco przesadził. Jeśli diagnoza profesora Kasprzaka jest prawdziwa, to w tonie nieco żartobliwym i polemicznym zapytam: Panie Profesorze! Jak udało się Panu przez tyle dziesiątków lat funkcjonowania w tym (?), czy poza (?) tym środowiskiem, przetrwać? Jedynym dla mnie sensownym wytłumaczeniem jest to, że zdołał Pan Profesor wokół siebie zgromadzić ów „zgrany, życzliwy sobie i innym, koleżeński zespół pracowników”. Czy okazał się on Leibnicjańską monadą bez okien, która przemieszczała się przez lata osamotniona? Myślę, że niemało jest takich, którzy robiąc swoje, jak najlepiej potrafią, odnoszą sukcesy w walce z głupotą, naukową miernotą itp.

Mam świadomość tego, iż nasz świat akademicki nie będąc światem najlepszym z możliwych nie ułatwia życia, zwłaszcza młodym wiekiem i stażem jego uczestnikom, którzy w charakterze ciągle jednak „uczniów” jakże często na próżno poszukują swych „mistrzów”. I gdy ci pierwsi potykają się na błędach przez siebie samych poczynionych (patrz – brak respektowania naukowych standardów, narażających ich na zarzut nierzetelności i niezrozumienia i braku rozeznania o czym tak naprawdę w postępowaniu naukowym chodzi) to rodzi się pytanie, gdzie byli ci nauczyciele, opiekunowie naukowcy, promotorzy itp. Kiedy był czas, aby te standardy w umysłach nieobeznanych zaszczepić? To pytanie mnie od pewnego czasu dręczy, i dziękuję prof. Arminowi Mikosowi v. Rohrscheidt za zwracanie w swych tekstach na to naszej uwagi.

Również w odniesieniu do **drugiej uwagi** adresowanej do odpowiedzialnych za publikacje (redaktorów i recenzentów czasopism, redaktorów zbiorczych monografii i ich recenzentów) sugerującej „bezlitosne odrzucanie wszystkich tekstów, które nie spełniają warunków prawdziwego opracowania źródłowego ...”, a także odrzucanie prac niezgodnych z tematem wiodącym monografii czy zeszytu tematycznego, pełna zgoda z profesorem Arminem Mikosem v. Rohrscheidt. Oczywiście, jak się profesor już domyśla, nie spodoba mi się słowo „bezlitosne”, choć rozumiem i respektuję intencje. Tak między nami mówiąc,

mogłoby to oznaczać w niejednym przypadku niedoświadczonego autora o słabszej konstrukcji psychicznej, ale jednak rozpoznany przez recenzenta potencjał, pozbawienie wiary w swoje twórcze możliwości. Oczywiście to nie rolą recenzentów jest uwiadomianie niedoświadczonym autorom niedorobionych tekstów, że powinni przed oddaniem tekstu do redakcji krytycznie go czytać a potem poprawiać: jeśli trzeba to nawet 20 razy. Nie mamy wątpliwości, jako recenzenci, że większość ocenianych tekstów powinna być przez ich autorów staranniej przygotowana do druku. Większość młodych badaczy, a pewnie dotyczy to i starszych, pisze swoje teksty w samotności. Nie przychodzi im do głowy, że warto je dać do krytycznego przejrzenia osobom, które często są w podobnej jak oni sytuacji i jest szansa na uwzględnienie uwag krytycznych. Tekst powinien dojrzeć. Zaryzykowałbym tezę, że tekst, który nie jest kilkanaście razy poprawiony, nie wart jest publikacji. Może warto w ramach czasopisma „Turystyka Kulturowa” wyróżniać prace o nieprzeciętnej kulturze języka, dobrej kompozycji. No tak, ale to oznaczałoby, że nie pisze się kilkanaście tekstów rocznie, ale 3-4, takich, które dojrzały w twórczym procesie do tego, aby ujrzeć światło dzienne. To też zapewne kwestia mocy twórczych i indywidualnego talentu pisarskiego, który jednak można wspomagać ćwiczeniem się w sztuce pisania i redagowania tekstu. Nazbyt często piszemy pod zamówienie awansu naukowego, przewodu doktorskiego, habilitacyjnego nie mając czasu na jego dopracowanie, co niesie z sobą określone konsekwencje. Wydany artykuł, książka pozostanie... Interesująco o tym pisze Howard S. Becker (*Warsztat pisarski badacza*, wyd. PWN, Warszawa 2013), trafnie, jak sądzę, twierdząc, iż: „pisanie jest formą myślenia. Gorąco polecam nie tylko młodym badaczom.

Na pytanie, jaki jest stan prac badawczych, poziom naukowy w obszarze turystyki kulturowej zabieram głos jako osoba pisząca teksty od ponad trzydziestu lat i pamiętam, jakie były tego początki i o czym w związku z tymi początkami dzisiaj staram się nie pamiętać. To być może powód, dla którego nie oceniam tak surowo błędów młodych ludzi, rozpoczynających dopiero przygodę z pisaniem tekstów, które w założeniu traktowane są jako naukowe.

W ramach proponowanej przez profesora Armina polemiki naprawczej dostrzegam, nie będąc nazbyt radykalnym w ocenach potencjału i kompetencji (które są nabywalne) początkujących badaczy, i to nie tylko turystyki kulturowej, większe ich naukowe wsparcie nie poprzez „karanie” (często tak niestety krytyka jest odbierana), co przez wysiłek cierpliwego naprowadzania na „dobrą drogę”, oczywiście przy założeniu, że nie mamy do czynienia z „beznadziejnym” przypadkiem.

Któż z nas nie podziela tęsknoty za artykułami polemicznymi, błyskotliwymi w swej formie i treści, wyznaczającymi i rozszerzającymi nowe obszary badawcze i sposoby ich ujmowania?

Metafora „szczupaka”, który sprawia, że „wszystkie ryby dzięki niemu poruszają się w stawie żwawiej, przemawia do mojej wyobraźni, i już powoli zaczynam nawet (na razie tylko w myślach) osadzać w tej roli Profesora Mikosa v. Rohrscheidt, mając na względzie słowa które do akademickiego „ekosystemu” kieruje. Pełna zgoda, co do tego, że potrzebujemy jak tlenu w sferze otwartej, nieskrępowanych debat, merytorycznych polemik, interesujących tekstów, które w badawczej sferze turystyki kulturowej wnoszą nowe, oryginalne idee, jak pisze prof. Armin Mikos v. Rohrscheidt: „kreują i „żywią” dyskusję w środowisku badaczy, wskazują na rzeczywiste problemy i nie pozwalają ignorować fundamentalnych sprzeczności”. Przyczyn jakże rzadkiego pojawiania się tekstów bezkompromisowych (krytycznych i polemicznych) i zarazem – dodałbym - wartościowych pod względem formy i treści tekstów, które profesor Mikos v. Rohrscheidt upatruje m.in. w słabości charakteru, oportunistycznym środowisku naukowego, panujących „układach”, itp. jest o wiele więcej, i przestrzegalbym przed uproszczeniami w tym względzie.

Tak nawiasem mówiąc jestem pod dużym wrażeniem bezkompromisowej postawy profesora Mikosa v. Rohrscheidt, kiedy pisze: „albo nauczymy się nasze osobiste sentymenty i resentymenty chować do kieszeni i nie eksponować ich w pracy dydaktycznej i naukowej

oraz współpracy badawczej, albo nasz poziom badań - i również dydaktyki - spadnie do ligi przysłowiowego Gabonu”. Mocne twierdzenie. Zapewne na miarę wyzwań, jakie przed nami. Ale czy nie nazbyt radykalnie postawione, wobec nakreślonej wcześniej diagnozy środowiska naukowego i meandrów ludzkiej psychiki (pierwszy człon alternatywy) i jednak mało prawdopodobnego obniżenia, aż tak naukowych lotów (drugi człon alternatywy).

Prof. Armin Mikos v. Rohrscheidt nie chciałby zostać samotnym don Kichotem w walce o przestrzeganie naukowych standardów i słusznie oczekuje wsparcia w tej wspólnej dla nas sprawie. Myślę, że je znajdzie, a zapewne już znajduje, zwłaszcza – paradoksalnie - wśród młodych adeptów nauki, którzy słowa krytyki pod ich adresem kierowane nauczyli się właściwie rozpoznawać. Nie jestem tak radykalny, co do strategii osiągania pedagogiczno-edukacyjnych celów, ale rozumiem intencje i przesłanie, które jest, co muszę przyznać, ważniejsze od ekspresji wypowiedzi, która może chwilami budzić moje obawy. Rozumiem zaniepokojenie badacza, niekwestionowanego znawcy i autorytetu w dziedzinie, przecież nie tylko turystyki kulturowej. Wierzę, że nie odpowiada mu rola Savonaroli stojącego w obliczu nieprawości szerzących się w polskim środowisku naukowym.

Na koniec przesłanie do niektórych z doktorantów czytających te słowa. Merytoryczna krytyka, nie tendencyjna, będąca wyrazem troski i niepokoju, niezgody na naukową bylejakość (nawet nieuświadomianą), nie powinna Was oburzać i niepokoić, co do treści a - powiedziałbym - i do formy, choć zaakceptowanie „formy”, w niejednym przypadku, może być wyzwaniem.

dr hab. Dariusz Dąbrowski, prof. UKW Bydgoszcz

Moją odpowiedź na kolejne ważne pytanie postawione „ekspertom gnieźnieńskim” chciałbym zacząć od pełnego poparcia dla słów prof. A. Kowalczyka zawierających ostrą, ale jakże słuszną krytykę obowiązującego u nas punktowego systemu oceny prac naukowych. Można odnieść wrażenie, że służy on wyłącznie urzędnikom, a naukowcom szkodzi, naruszając zasady naturalnego, harmonijnego procesu badań i publikacji (podkreślali to także inni Dyskutanci). Okazuje się, że szkazuje się środowisko, szczególnie zaś młodych kolegów, zabiegających dopiero o kolejne stopnie, na – co też było podkreślane – uczestnictwo w wyścigu szczurów. Ważniejsze staje się przygotowywanie strategii publikowania określonych tekstów w danym czasie i miejscu niż dogłębne opracowanie zagadnienia. Rzutuje to w sposób oczywiście niekorzystny na jakość wielu prac oddawanych do druku. Słowa te w pełni potwierdza pewien drobny eksperyment, który dla własnej ciekawości przeprowadziłem. Porównałem po prostu (w ograniczonym zakresie, nie był to pełen przegląd, co zaznaczam dla uczciwości statystycznej) dorobek autorów pracujących w mej ulubionej dziedzinie kilkadziesiąt lat temu z listami publikacji współczesnych specjalistów. Wyglądamy przy znakomitych poprzednikach jak cyborgi, kierujące się stachanowską zasadą „na naszym uniwersytecie wykonujemy 300% normy, nie mniej”. Wiadomo tymczasem, jak wymuszane administracyjnie pójście „na ilość” rzutuje na jakość. Tyle o powyższej sprawie, zdecydowanie wymagającej wspólnego działania czy – ściślej mówiąc – solidarnego przeciwdziałania środowiska. Pozwolę sobie zostać jeszcze przy odniesieniach do wypowiedzi prof. Kowalczyka, tym razem jednak polemicznie. Nie zgadzam się mianowicie z Jego sugestią, że każdy artykuł winien zawierać obszerny wstęp metodologiczny. Przecież – po pierwsze – istnieją różne rodzaje artykułów. Właściwie wszystkie one za wyjątkiem programowych nie muszą posiadać takiej części, gdyż powinny być raczej skoncentrowane na rozwiązaniu określonego problemu badawczego. Wbrew pozorom nie jest to błaha uwaga dotycząca wyłącznie struktury poszczególnych prac. Koncentruje się tutaj kilka istotnych dla dyskusji problemów. Po pierwsze, niestety, widać skłonność - szczególnie młodych autorów - do ulegania presji autorytetów albo też do kierowania się wyniesionymi z zajęć nie zawsze właściwymi schematami. To obserwacja czytelnika, między innymi tekstów umieszczanych

w TK. Zawarte w niektórych artykułach, „bo tak wypada i mistrz tak kazali”, nieszczęsne wprowadzenia metodologiczne z reguły są miałkie, stereotypowe, nieoryginalne i słabo służą opracowywanemu tematowi. Inaczej mówiąc, obniżają one jakość pracy, bo same w sobie niczego nie wnoszą (wprost przeciwnie, nierzadko rażą wtórnością). Po drugie, zabierają czas i miejsce potrzebne na rozwinięcie głównych wątków. Po trzecie, wpływają niekorzystnie na kompozycję. Niemniej, i to kolejna kwestia wywołana uwagą prof. Kowalczyka, jestem jak najdalej od krytykowania metodologii jako takiej. Są tego typu rozważania bardzo potrzebne, wprost niezbędne, ale zgódźmy się, że to „wyższa szkoła jazdy”, za którą powinni się zabierać badacze najbardziej doświadczeni (wcale nie mam tu na myśli wieku) i dysponujący największą wiedzą. W ten sposób dochodzimy do punktu wyjściowego. Jakiej jakości mogą być wstępy metodologiczne, które pisze stosunkowo niedoświadczony autor, bo „tak trzeba”? Co więcej, jeśli artykuł jest poświęcony np. zagadnieniu praktycznemu, cóż więcej trzeba z zakresu „metodologii” niż stwierdzenie w rodzaju: „odnoszę się do ustaleń...; lub opieram się na poglądach...”?! To jeszcze jednak nie koniec o metodologii. Otóż, absolutnie zgadzam się z wykraczającym poza ramy prowadzonej dyskusji, ale istotnym dla niej stwierdzeniem prof. Kowalczyka o wadze bazowych przedmiotów akademickich (logika, filozofia itp.) w procesie edukacji studentów. Ich usunięcie z siatek godzin bardzo niekorzystnie wpływa na kształtowanie się warsztatu badawczego adeptów nauki, w tym, wypacza ich stosunek do problemów metodologicznych.

Pozwolę sobie przejść teraz do innych spraw, zaznaczając, że niewiele już pozostało do powiedzenia po zapoznaniu się z dogłębnymi uwagami Poprzedników, z którymi zgadzam się co do joty (kwestia braku artykułów polemicznych, przedkładania mających różne podłoże „sentymentów” nad rzetelną ocenę itp.). Wydaje mi się, a wiedzę swą czerpię jednak głównie z obserwacji świata historyków, że np. co do niewystarczającego poziomu dyskusji naukowej stoją za tym negatywnym zjawiskiem dwie główne przyczyny. Pierwsza z nich to – mimo wszystko – słabość (w porównaniu do historyków) i dzięki wprost rozproszenie środowiska „turystologów kulturowych”. Druga zaś, to presja nieszczęsnych „punktów”, wymagająca – jak już zazaczyłem – kształtowania strategii publikowania, niekorzystnej dla normalnego, zdrowego życia naukowego. O kumoterstwie w tym miejscu się nie wypowiadam, bo nie potrafię znaleźć skutecznego leku na tego potwora. Oczywiście, solidność, przestrzeganie norm etycznych, bezstronność, przestrzeganie zasad warsztatowych, skuteczny system „ślepych” recenzji - wszystko to racja, ale, jak pokazuje rzeczywistość, to nie wystarczy. W poprzednim zdaniu pojawiło się wreszcie hasło, którym chciałbym zamknąć moją wypowiedź. Chodzi o warsztat naukowy. Boję się, że jest na tym polu bardzo wiele do zrobienia w naukowej analizie turystyki kulturowej. Sam wywodzę się ze środowiska, które przykładało do budowania warsztatu olbrzymią wagę. Wiem jednak, że wcale nie jest to postawa powszechna. Doświadczyłem sytuacji gdy doktoranci, a nawet doktorzy nie znali podstawowych zasad stosowania różnego rodzaju zapisów, bo ich tego nie nauczono (znów wraca jakość procesu edukacji)! Nie wspomnę już nawet o podstawach heurystyki i hermeneutyki. Wielu młodych badaczy (których albo nie nauczono, albo przede wszystkim „spiesz się”) nie wie, jak, ale też i nie dostrzega potrzeby rzetelnego zebrania źródeł i literatury (kłania się poruszany problem „zbyt małych prób statystycznych”). A analiza źródeł: z tym w ogóle potrafi być różnie, czego efektem są zawsze powierzchowne wnioski. My, jako osoby w różnym stopniu parające się turystyką kulturową, stoimy jeszcze przed problemem uzgodnienia warsztatów badawczych. Nie chodzi nawet o konieczność wypracowania wspólnych norm, bo to jest – jak sądzę – niepotrzebne, ba, nawet, niemożliwe, albowiem tematy naszych rozważań najczęściej wymagają skrajnie różnych podejść i stosowania odmiennych narzędzi badawczych. Chodzi raczej o nauczenie się dostrzegania swojej specyfiki i akceptowania jej, a nie podciągania wszystkiego pod „mój warsztat, ten jedyny słuszny”. Niemniej i tak, pewne zasady warsztatowe powinny być wspólne: jakie konkretnie, to już temat na odrębną dyskusję. Ja osobiście do nich z pewnością nie zaliczam –

powtarzam to jak nieszczęsny Katon Starszy, ale w lepszej chyba sprawie – stosowania harwardzkiego systemu przypisów. Moim zdaniem, system oksfordzki (w moim środowisku częściej zwany niemieckim) dla większości prac z zakresu turystyki kulturowej jest po prostu lepszy. Oto konkretny postulat „w sprawie polepszenia” - na koniec.

dr hab. Zygmunt Kruczek, prof. UEK w Katowicach / AWF Kraków

Na zadane pytanie można przeczytać wyczerpujące już odpowiedzi Profesorów - Kowalczyka, Mikosa v. Rohrscheidt, Dąbrowskiego, Kazimierczak czy dr Borzyszkowskiego. Wielka jest w nich zgodność co do wysokiej oceny czasopisma „Turystyka Kulturowa” i jego znaczenia nie tylko dla rozwoju turystyki kulturowej ale i całej sfery nauk o turystyce. Imponuje tempo dojścia do poziomu uznawanych dotychczas za wiodące czasopism ogólnopolskich takich jak „Folia Turistica” czy „Turyzmu”. W kręgach akademickich, w których się obracam czasopismo jest chwalone za poziom, organizację procesu wydawniczego i szybkość publikowania.

W przesłanych wypowiedziach przewija się wątek dbałości o wysoki poziom publikowanych artykułów poprzez system anonimowych recenzji. Idealni recenzenci odpowiadają tytułowemu bohaterom pewnego filmu „szybcy i wściekli”. To bardzo istotne aby recenzje były krytyczne i w ustalonym terminie. Może to w przyszłości, wraz z innymi zabiegami zapewniającymi wysoki poziom, a zwłaszcza cytowaniem publikowanych w TK artykułów, doprowadzi do umieszczenia czasopisma na liście A, czego redaktorowi i całemu zespołowi z całego serca życzę.

I jeszcze jedna refleksja odnośnie tak ładnie nazwanej przez Armina pogoni za punktami jako choroby zwanej „punktozą”. Nie zbieram już punktów, ale rozumiem młodych adeptów nauk wszelakich zmuszonych do spełnienia tego idiotycznego wymogu. Absolutnie nie można ulegać „łowcom punktów” zasypujących redakcje miernymi tekstami. Potrzebne są rozwiązania systemowe w kryteriach rozwoju awansów akademickich nie powiązane z kolekcjonowaniem punktów. Ale to już problem MNiSW oraz CKK. A doktorantom w przygotowaniu dobrych tekstów powinni pomagać promotorzy; wszak im też zależy na rychłej obronie swoich podopiecznych. Czekam na okrągły jubileusz np. 10 lat i znaczący awans czasopisma!!

dr hab. Krzysztof Widawski, Uniwersytet Wrocławski

Czując się wywołanym do tablicy mam świadomość, że wielość przymiotników, jak twierdził mistrz Herbert, to przypadłość złej poezji. Wypowiedź moją postaram się więc podać w możliwie skróconej wersji. Wyczerpujące odpowiedzi w zasadzie już zostały udzielone i niewiele pozostaje do dodania. Uroczą w swojej nazwie „punktozą” przywoływana na forum wielokrotnie stanowi faktycznie duży problem, widoczny na kilku poziomach. Pierwszym jest publikowanie, dla którego celem jest zdobycie odpowiedniej liczby punktów, cel zaś merytoryczny jest drugorzędny. Jak to wpływa na jakość merytoryczną publikacji – odpowiedzi w tym względzie także padły. I choć jako główny obszar potencjalnych „nadużyć” w tym względzie wskazano środowisko doktorantów, to nie jest ono jedynym, narażonym na taką pokusę, tyle że może w największym stopniu. Szukając po trosze usprawiedliwienia dla tejże grupy warto, bijąc się w piersi, przyznać, że takie a nie inne reguły gry zostały im narzucone i muszą to przyjąć z całym dobrodziejstwem inwentarza. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na drugi aspekt: otóż pogoń za punktami w jakimś stopniu przyczyna się do ograniczania więzi w środowisku naukowym. Spotkania na konferencjach przestają być, zgodnie z kalkulacją, „opłacalne” punktowo. Wyjazd, którego jednym z celów winna być wymiana myśli oraz integracja badaczy danej dziedziny, może przynieść, w rozliczeniu punktowym, trzy do czterech punktów za opublikowany

w monografii artykuł (o ile redaktor nie zapomni nazwać wydawanej pozycji monografią. Jeżeli będzie to wydawnictwo pokonferencyjne - wartość punktowa jest żadna). Konkretnie więc koszt, ponoszone w związku z udziałem, nie przynoszą, punktowo, żadnej korzyści. Stąd naukowiec, zwłaszcza młody, za którym niekoniecznie stoi grant, zastanowi się dwa razy, nim skorzysta z możliwości udziału. A przecież nauka rodzi się także w dyskusjach: i tych panelowych i tych kuluarowych. Konferencja wydaje się być naturalnym środowiskiem wymiany opinii, poglądów, także starć, jako że ferment też jest motorem rozwoju nauki. Tam najłatwiej spotkać mistrza. A tęsknota do relacji mistrz – uczeń jest i, choć jest to tylko moje wrażenie, potrzeba takiej relacji wzrasta tym bardziej, im bardziej świat nauki pozwala sobie narzucać podejście buchalteryjne. Jego symbolem jest wszechobecne i po trosze wszechmogące krk, dzięki czemu uniwersytety coraz częściej stają się rzeczywistością usługową realizowaną na potrzeby klienta, który rozlicza nas z jakości świadczonej usługi, szczegółowo opisanej w sylabusach. Zamykając ten wątek można wyrazić żal, jak wiele publikacji niekoniecznie wysoko punktowanych, za to ważnych, nie pojawi się lub ulegnie spłyceciu badawczemu na potrzebę chwili. Pozostaje też, poruszana w wielu innych wypowiedziach, kwestia środowiska. Jakkolwiek wiele w nim ułomności, o czym pisano, to jednak nie ulega dla mnie wątpliwości, że dzieje się, także publikacyjnie, wiele dobrego. Jakkolwiek jakość publikacji jest różna, to można spotkać naprawdę wiele istotnych, które posuwają naukę do przodu. I trzeba wskazać tutaj na rolę „Turystyki Kulturowej”, która w relatywnie krótkim czasie stała się istotnym graczem na tym rynku i raczej jest, czy to się podoba, czy nie, punktem odniesienia dla badaczy zgłębiających tę tematykę. Należy uznać to za sukces i życzyć dalszych.